

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

„Ludzie bezdomni” – streszczenie szczegółowe (dokładne) lektury

Stefan Żeromski

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

Wenus z Milo

Akcja otwiera się w Paryżu. **Tomasz Judym**, młody lekarz, wraca w upalny dzień przez Pola Elizejskie z Lasku Bulońskiego. Obserwuje płynącą bulwarami rzekę powozów i wykwintnie ubranych ludzi „wielkiego świata”, pięknych, wydelikacowanych kobiet, których widok budzi w nim tęsknotę „jak za szczęściem”. Zmęczony i znudzony pustką swego kawalerskiego mieszkania przy Boulevard Voltaire, dla chłodu i odpoczynku wchodzi do Luwru i siada na ławce naprzeciw **Wenus z Milo**. Wpatrzony w marmurowe oblicze, dostrzega w nim „małą fałdę między brwiami” — bryła kamienia w istocie „myśli”: bogini posiadała wiedzę o całym życiu, jego pracach, nocach i łzach, a zarazem promienieje radością dziewiczą i uwielbieniem dla szczęśliwej miłości, dla „uczestnictwa wolnego ducha i wolnego ciała w życiu bezgrzesznej przyrody”. Afrodyta-Anadiomene jest dla Judyma „jasnym i dobrym symbolem życia”.

Z zadumy wyrывa go polska mowa. Zbliżają się cztery rodaczki: starsza, otyła i dystygowana **pani Niewadzka**, jej dwie wnuczki-sieroty, panny **Orszeńskie** — siedemnastoletnia **Natalia (Netka)**, śniada, rozmarzona, o matowej cerze i przymkniętych powiekach, oraz młodsza o dwa lata, rezolutna i bezceremonialna **Wanda** — a także ich towarzyszką i nauczycielką, dwudziestokilkuletnia brunetka o niebieskich oczach, panna **Joanna Podborska (Joasia)**. Judym, z początku ukryty w cieniu, obserwuje, jak każda z kobiet inaczej przeżywa posąg: Joasia z entuzjazmem i wzruszeniem, Natalia chłonąc go „spod oka” z tajemniczym napięciem, Wanda zaś z pełnym dystansu znudzeniem („ma całuteńkie plecy poszarpane, jakby ją kto prał ekonomicznym batem”). Judym, sam świeżo poruszony pięknem rzeźby, z radością odnajduje te same uczucia na twarzy Joasi i pragnie z kimś porozmawiać o sztuce. Gdy panie szukają grupy „Amor i Psyche” Canovy, ofiarowuje się je poprowadzić.

W rozmowie pani Niewadzka, dowiedziawszy się, że Judym jest lekarzem studiującym chirurgię w Paryżu, pyta o jego pochodzenie (kojarzy nazwisko z Wołynią). Judym z „kłującą satysfakcją” wyznaje prawdę: pochodzi z Warszawy, z ulicy **Ciepłej**, jego ojciec był „lichem szewcem”, do tego pijakiem robiącym awantury. To demonstracyjne, hardo podkreślone wyznanie plebejskiego rodowodu wprawia panie w zakłopotanie — wnuczki reagują nietaktownie (Wanda dziwi się, „jakim cudem pan został lekarzem”), a pani Niewadzka, z mieszaniną chłodu i taktu, docenia jego „odwagę”, przyznając, że ludzie z gminu zwykle starają się ukryć swój rodowód, a dorobiwszy się — przyklepiają herby do karet. Judym odróżnia w sobie „dwie substancje” — szewskiego syna i aspiranta do „towarzystwa” — i gryzie wargę z

upokorzenia. Mimo to rozmowa o sztuce (Wenus, „Rybak”, „Myśl”) zbliża go zwłaszcza do Joasi, a reżolutna Wanda traktuje go niemal jak „dobrego koleżkę”. Na pożegnanie panie zapraszają go na jutrzejszą wycieczkę do Wersalu.

Dla Judyma to zdarzenie „kapitalne” — nigdy dotąd nie zbliżał się do takich kobiet, „podobnych do cudnych kwiatów zamkniętych w czarownym ogrodzie”, którym jako uczeń i student tylko z daleka zazdrościł lokajom prawa przyglądania się. Z pogardą wspomina kobiety swojego stanu, „podobne do mężczyzn z ordynarności”. Nazajutrz, starannie ubrany, czeka pod stacją tramwaju, dręczony myślą, że panie nie przyjdą — „dlatego mianowicie, że on ich oczekuje. On, Tomek Judym z Ciepłej ulicy”. Rozmyśla gorzko o swoim chamstwie, o nieumiejętności „bawienia się” i prowadzenia salonowej rozmowy — żyje, jak czuje, „z prapradziadkami na początku osiemnastego wieku”, podczas gdy te kobiety są „istotami nowoczesnymi, wyobrazicielkami kultury”.

Panie jednak przybywają. Tramwajem (na imperiale) jadą przez Sèvres do Wersalu. Sekwana wydaje im się brzydka i mała wobec wspomianej z tęsknotą ojczystej Wisły i czystej Izary. Po drodze mijają ogrody pełne zapachu róż, lecz i szerniałe kominy fabryk „jak wstrętny kadłub pasożyta”, biedne przedmieścia, składy węgla — kontrast piękna i nędzy. Centralnym tematem rozmowy staje się obraz „**Rybak**” **Puvis de Chavannes'a** z Galerii Luksemburskiej. Judym przypomina sobie to arcydzieło jako „mętne echo czyjeś krzywdy, jakiejś hańby bezprzykładnej”: wychudły „antropoid z przedmieścia”, w rozłożonej się koszuli, stoi ze swą podrywką, a jego zapadłe oczy mówią do przechodzących: „Oto jest pożytek wasz ze wszystkich sił moich, z ducha mojego”. Obraz wzruszył do łez nawet strojne damy „obarczone łupami” — to zapowiedź głównego problemu społecznego powieści (krzywda biednych). Panny wyznają, że płakały nad rybakim, jego wychudłą rodziną „jakby wystruganą z patyków”; zauważają, że rybak „podobny jest do Pana Jezusa”. Gdy zrywa się ulewa, Judym po rycersku zasłania panie własną figurą i — kradnąc spojrzenia „z włamaniem się i premedytacją” — dostrzega odsłoniętą, wysmukłą nogę w czarnej jedwabnej pończosze i lakierowanym pantofelku; okazuje się, że to noga **Natalii**, na której wargach gości „uśmiech nieopisany, pełen jadu i swawoli” (pierwsza nuta zmysłowej fascynacji Judyma Netką).

W tłoku stacyjnej budki ciało Natalii przywarło do Judyma, jej włosy musnęły mu twarz; przez chwilę spojrzała mu śmiało, badawczo w oczy. W pałacu wersalskim panie zwiedzały sale batalistyczne; panna **Joanna**, wpatrzona w okno sypialni Marii Antoniny, wyznała Judymowi dziwne wrażenie — lęk przed „motłochem”, który tędy się wdarł z okrzykiem „Śmierć Austriaczce!”. W drodze powrotnej, ze wzgórz w Saint-Cloud, ujrzeli rozległy Paryż jak „pustynię kamienną” dymiącą kominami. Judym przyglądał się sarmackiej, ekspresyjnej twarzy Joasi. Na dworcu Saint-Lazare rozstali się — panie wyjeżdżały do Trouville i Anglii.

W pocie czoła

Po roku, pod koniec czerwca, Judym budzi się w Warszawie, pełen młodości wiary w siebie („u podnóża wielkiej góry (...) wie, że wejdzie”). Z poczuciem obowiązku, lecz i „fałszywego wstydu”, odwiedza rodzinę na **ulicy Ciepłej** — w nędznej, cuchnącej dzielnicy żydowskiej (Krochmalna). Trafia do oficyny, gdzie mieszka brat Wiktor: zastaje przykutą do haka, owłosioną, wrzeszczącą **wariatkę-babkę** (trzymaną w domu z braku pieniędzy i miejsca w szpitalu), zgryźliwą **ciotkę Pelagię** i wynędzniałe, zdziczałe dzieci brata (Franek, Karolina o „starej, chytrej fizjonomii”). Idzie do **fabryki cygar**, gdzie żona brata, Wiktorowa (Teosia), w zaduchu i pyłe tytoniowym pakuje tytoń w „konwulsyjnych”, rytmicznych ruchach — obraz wyniszczającej pracy fizycznej. Bratowa, dumna ze szwagra-doktora, pędzi z nim na obiad na Ciepłą.

Nazajutrz Judym odprowadza brata **Wiktora** do pracy. Wywiązuje się gorzka rozmowa: Wiktor, robotnik (przerzucił się do stalowni przy „gruszce Bessemera”), z urazą wypomina bratu, że jego „życie było jak różyczka w ogrodzie” — bo ciotka wzięła go do siebie i wykształciła. Judym odsłania prawdę o swoim dzieciństwie: ciotka, niegdyś utrzymanka („pierwsza granda w Warszawie”), trzymała go jako popychadło, sypiał w przedpokoju, znosił bicie, głód, upokorzenia, chodził w jej rozkładanych pantoflach — wyrwał się dopiero w piątej klasie. Bracia patrzą ze wzgórze na dzielnicę fabryczną i Wisłę; rozmowa odsłania przepaść klasową między nimi. Poznają technika (pomocnika inżyniera od „gruszki”), który oprowadza Judyma po **stalowni**: heblowanie sztab, nitowanie mostów, kowale-siłacze, a wśród nich pięknej budowy młody robotnik o twarzy „wyrzeźbionej z kości”. Przy gruszce Bessemera, w oślepiającym ogniu i huku, Judym rozpoznaje w czarnej, „salamandrowej” postaci na galerii — swojego **brata Wiktora**; serce „zapala się w nim iskrą”.

Mrzonki

Doktor **Czernisz**, znakomity lekarz pochodzący z biedoty, prowadzi z piękną żoną salon, w którym co druga środa zbiera się elita lekarska. Judym, zaproszony, postanawia wygłosić **odczyt o higienie**. Onieśmielony, plebejsko zawstydzony, przewyciężając tremę, czyta: po erudycyjnym wstępie o nowych metodach dezynfekcji przechodzi do sedna — pyta, co nauka robi dla **higieny życia nędzarzy**. Opisuje paryskie dno (nocleźnia Château-Rouge, gdzie sam spędził noc, dzielnice nędzy Cité), warszawskie getto żydowskie i nędzę wiejskich fernali (ludzie śpiący z prosiętami, „a jedynym na to lekarstwem jest antysemityzm” — ironicznie). Stawia tezę: lekarz dzisiejszy jest „lekarzem-sługą ludzi bogatych”, lekceważy przyczyny chorób biedaków, a powinien — mocą praw stanu — niszczyć źródła zarazy (suteryny, fabryki, plugawe dzielnice), zakazując choremu wracać „do źródła zguby zdrowia”. Zgromadzenie przyjmuje to z drwiną i niechęcią. Doktor **Kalecki** odpowiada protekcyjnie (chwali „uczucia altruistyczne”

i „żywość imaginacji”, lecz odsyła sprawę do filantropii), doktor **Płowicz** ostro: to „pretensja dzika”, lekarze nie mają takiej władzy, a świat-przemysłowiec nie posłucha kazań. Judym, tracąc grunt, broni się coraz słabiej i przegrywa. Po upokarzającej kolacji wychodzi; odprowadza go żydowski lekarz **Chmielnicki** — gruby, dowcipny, sam całe życie wyśmiewany (jako Żyd i z powodu nazwiska); deklaruje, że „medycyna to fach, interes jak każdy inny”, lecz wzrusza go los Żydów i antysemicka prasa. Judym obstaje przy swoich „mrzonkach” — wierzy, że za pięćdziesiąt lat medycyna „odrodzi świat”.

Smutek

Piątego października Judym spaceruje jesiennymi Alejami Ujazdowskimi. Wśród umierającej, rdzawej przyrody dojrzeva w nim **smutek** i gorzki rachunek z sobą: rozumie, że nie jest „niczym osobliwym”, że jego wielkie marzenia (odkrycia w terapii gruźlicy, niszczenie suterren, przebudowa miast) muszą „pozostać marzeniem”, że „pal jest mocniejszy niż piersi ludzkie”. Pod tym żalem tkwi „drapieżna zazdrość plebejusza” wobec cudzego bogactwa (powozy, powozy, powozy...). W przejeżdżającym wolancie dostrzega trzy znajome paryżanki; uśmiech panny Joanny błyska mu w oczach „jak światło” i rozwiewa się.

Praktyka

Judym otwiera w Warszawie gabinet przy ulicy Długiej, z tabliczkami godzin przyjęć (piąta–siódma), których trzyma się z żelazną dyscypliną — mimo że przez pół roku **nie zjawia się ani jeden pacjent**. Mieszkaniem rządzą okradające go gospodyni **Walentowa** (pijaczka) i jej córka Zośka. Po niefortunnym odczycie u Czernisza Judym czuje wokół siebie „wyziębłe miejsce” w świecie lekarskim. Pierwszym „gościem” okazuje się kwestarka zbierająca na towarzystwo nawracania dziewcząt — wyludza rubla. Gdy fundusze po ciotce się wyczerpują, a bratowa potrzebuje pomocy (Wiktor zniknął — później okaże się, że wyjechał), Chmielnicki proponuje Judymowi posadę asystenta w zakładzie kuracyjnym **Cisy** (600 rubli, utrzymanie). Przybywa dyrektor **Węglichowski** — mądry, przenikliwy, zadbany staruszek — i po badawczej rozmowie (Judym szczerze przyznaje, że wyjeżdża, bo „nie ma z czego żyć” i naraził się odczytem) oferuje mu posadę. Okazuje się, że Cisy należą do **pani Niewadzkiej** — poznanej w Paryżu; Judym ucieszony perspektywą spotkania znajomych panien przyjmuje.

Swawolny Dyzio

Pod koniec kwietnia Judym, wzięwszy zaliczkę, wyrusza pociągiem do Cisów. W przedziale trafia na rozpущzonego, nieznośnego **Dyzia** i jego bezradną, sepleniącą matkę (żonę kasjera Listwy). W końcowym odcinku drogi, gdy Dyzio złośliwie obrzuca mu nogi błotem, Judym

wymierza chłopcu kilkadziesiąt klapsów i — wobec hysterii matki — wysiada z powozu, idąc pieszo z walizą. Najmuje pijanego chłopca, który wariacko gna wozem, śpiewa, wreszcie wywraca wóz (łamie rozwozę) i obaj lądują w błocie. Cały uwalany gliną, Judym wędruje dalej; mija go konno panna **Natalia** w towarzystwie eleganckiego jeźdźcy — ledwie go zauważa, a panna **Wanda** parska śmiechem na jego widok. Upokorzony, dociera wreszcie do Cisów, myje się i przebiera. Z okna mieszkania patrzy na rozkwitający park i odczuwa radosną, niemal religijną gotowość do **pracy**: „Oto miejsce, gdzie mu będzie wolno włożyć jarzmo i drzeć starą glebę głęboko sięgającym pługiem (...) będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego”.

Cisy

Opis zakładu kuracyjnego **Cisy** (dolina między wzgórzami, stawy, park, kursal, łazienki „Wincenty”, pałac dominium pani Niewadzkiej, kościół z dwiema wieżami) i jego historii. Założył go niegdyś chory, odmieniony cierpieniem pan Niewadzki, darowując ziemię i tworząc spółkę akcyjną; po latach upadku (przepych, deficyt) zakład podźwignęli dwaj dawni szkolni koledzy. Najważniejszą postacią jest **Leszczykowski (M. Les)** — emigrant, były powstaniec, który dorobił się majątku jako kupiec w Konstantynopolu, lecz mimo to pozostał ascetą i marzycielem, wspierającym z dala każdą polską sprawę i marzącym o ucywilizowaniu rodzinnej okolicy; w cudacznym, wielojęzycznym liście zawiera z Judymem znajomość i głosi etos nieustannej pracy („forward!”, przeciw polskiemu „kismetowi”). Administratorem jest **Krzywosąd Chobrzański** — barwny dziwak, były tułacz po Europie, „fabrykant starożytności” (podrabiacz Rubensów, gotyckich antyków, „pamiątek po królach”), pyszny, despotyczny, dbający o pozór własnej władzy i wszechumiejętności; scena z chowanym sokołem, który dziobie go w łysinę, a on bije ptaka prętem. Kasjerem jest zgnębiony przez żonę i Dyzia **Listwa**.

Kwiat tuberozy

Judym, spragniony samodzielnej pracy, wyrusza obejrzeć podlegający mu **szpitalik** przy folwarku, kościele i pałacu. W kościele spotyka trzy paryskie panny (Natalię, Joannę, Wandę); po mszy poznaje wesołego, mądrego, jowialnego **młodego proboszcza**, który zaprasza wszystkich na śniadanie na plebanię. Tam ksiądz przestrzega Judyma przed kuracjuszem **Karbowskim** — pięknym, eleganckim hochsztaplerem i szulerem, który roztrwonił majątek, ogrywa naiwnych gości i wyludza pieniądze nawet od ubogich (felczerów, lokajów). Gdy Karbowski wchodzi do salonu, panna **Natalia** blednie jak papier — między nią a Karbowskim wybucha niema, oczywista, namiętna wzajemność („oszalałe, dzikie z miłości oczy”); Joanna z trwogą próbuje to zagłuszyć rozmową. Karbowski na pytanie Natalii o pobyt w Cisach odpowiada z „uśmiechem śmiertelnym”: „Może umrę...”. Gdy panny odjeżdżają, Karbowski

długo patrzy za powozem z twarzą skrzywioną cierpieniem. Judym **zazdrości** mu wszystkiego — nawet cierpień; czuje, że całe jego (Judyma) życie pełne idei i trudu jest „jednym wielkim głupstwem” wobec życia Karbowskiego, który zrozumiał, że dość być pięknym i wykwintnym, by być kochanym przez „najcudniejsze zjawisko ziemi”. Karbowski jest dlań jak „kwiat tuberozy” — bezużyteczny, a przecież nikomu nie przyjdzie do głowy go zdeptać. Z gorzką zazdrością Judym pyta, „czemu i on, czemu i ona...”.

Przyjdź

Krótki, liryczny rozdział: po burzy Judym siedzi u okna swego mieszkania, przepełniony niezrozumiałą radością, i — wśród rozkwitającej, ociekającej deszczem przyrody — „na coś niesłychanego czeka, na przyjście czyjeś”.

Zwierzenia

Obszerny rozdział w formie **dziennika panny Joanny (Joasi) Podborskiej** — odsłaniający całą jej biografię i wewnętrzny świat (i stanowiący równoległy do Judyma głos „człowieka bezdomnego”). Joasia, kielczanka, sierota, sześć lat temu (mając 17 lat) przyjechała sama do Warszawy na posadę guwernantki (u Predygiarów, ucząc Wandę za 15 rubli), by — zgodnie ze ślubem — utrzymywać i kształcić braci: starszego, lekkomyślnego **Henryka** (studiuje rzekomo w Zurychu, w istocie robi długi i awantury) oraz uzdolnionego **Wacława** (przyrodnika zesłanego na Syberię). Wpisy ukazują jej tułaczy, wyczerpujący żywot biegania po lekcjach (62 ruble miesięcznie), nieustanną „cenzurę” ciążącą na nauczycielce, dumę jako jedyną broń, oraz refleksje o kwestii kobiecej, czystości i wyższości moralnej kobiet, o literaturze (Owidiusz, Pieśń nad Pieśniami, Antygona). Wspomina śmierć **panny L.** — starej „matki-panny”, nauczycielki, której życie czystej, systematycznej, bezinteresownej pracy uznaje za ideał i wzór do naśladowania (hasło „Hart sei!” — bądź twarda). Notuje upokorzenia od natrętnego „kuzyna” i pseudoliterata. Pojawia się też wątek osobisty: kilkakrotnie spotyka w tramwaju „ślicznego jegomościa w cylindrze” o zamyślonej twarzy, którego rysuje i o którym marzy — a 30 listopada zapisuje jednozdaniowo: „Nazywa się: doktor Judym” (czytelnik rozpoznaje, że to Tomasz). Po proroczym, koszmarnym śnie (Henryk skazany, strzyżony jak więzień) nadchodzi wieść: **Wacław umarł**. Zdruzgotana Joasia jedzie wiosną w rodzinne strony (Kielce, Mękarzyce do wujostwa, Krawczyńska na grób rodziców, Głogi — dom dzieciństwa zajęty teraz przez Żyda Korybuta). Z bólem odkrywa, że „gniazdo człowiecze trwa tak krótko jak gniazdo pająka”: po rodzicach, braciach i niej samej nic nie zostało, obcy ludzie dziedziczą miejsca jej najświętszych wspomnień. Nad grobem rodziców i w dolinie dzieciństwa przeżywa rozpacz, żądzę śmierci i wreszcie tajemnicze ukojenie („z cmentarza matka przysłała do mnie z głębi ziemi”). Tu kończy się **Tom I**.

Pocziwe prowincjonalne idee

W sezonie Judym ma mnóstwo pracy (stacja meteorologiczna, łaźienki, szpital, przyjmowanie chorych), lecz popołudniami, wciągnięty w „deprawujące” życie kurortu, przedziera się w **modnego franta** bawiącego znudzone, bogate damy. Na balu, rozzuchwalony powodzeniem, próbuje zalotów wobec **Natalii** — ta, gdy tylko od rozmowy o Karbowskiem przechodzi do mówienia „o sobie”, miażdży go spojrzeniem „ponurej dumy”, upokarzając bez wzruszenia. Główną pasją Judyma staje się **szpital**: zaniedbany budynek (gdzie składano buraki i pożyczano łóżka) podźwiga „par force” — odzyskuje rozkradzione sprzęty, wyłudza i wyflirtowuje od kuracjuszek wyposażenie, organizuje teatr amatorski na fundusze, zdobywa dozorczynię (pani Wajsmanowa, opłacaną z „cichej kasy” M. Lesa), wymusza na plenipotentie dostawę żywności i ogrodzenie terenu. Szpital zapełnia się biedotą, Judym operuje. Jesienią w wilgotnych **czworakach** nad sadzawkami (urządzonymi przez plenipotentę dla dochodu z ryb) wybucha **malaria** wśród dzieci. Judym domaga się przeniesienia czworaków na suchszy teren albo likwidacji sadzawek — plenipotent **Worszewicz** odmawia z furią (sadzawki to jego duma i dochód). Pani Niewadzka, bezradna wobec plenipotentę, proponuje kompromis: urządzić dla dzieci-malaryków salę w starej piekarni jako prezent urodzinowy dla **Joasi** Podborskiej (która sama chciała oddać im swój pokój) — co budzi w Judymie niesmak.

Starcy

Obraz cisowskiego „światka starców” zbierającego się na wincie u dyrektorostwa Węglichowskich. Żona dyrektora, energiczna, niegdyś tułaczka, dziś „gospodyni” **pani Laura**; despotyczny, wszechumiejny **Krzywosąd**, który stał się „prawą ręką” dyrektora; plenipotent, Listwa, ksiądz. Tych ludzi łączy „patrzenie na terażniejszość” wyłącznie przez pryzmat przeszłości — wszystko, co współczesne, jest dla nich błaha i śmieszne. Judym, mimo gorliwości, nie może przebić tego „płotu nie do przebycia”; rozumie, że nie wpłynie na bieg spraw Cisów, jeśli nie pójdzie ręką w rękę z Krzywosądem. Jego pierwotna chęć pracy zamienia się w „zgubną pasję” — zakład staje się jego skrytą namiętnością, knuje reformy (osuszenie, kanały, sale gimnastyczne, przytułki). Jedyńm współnikiem jest daleki **M. Les**, z którym wymienia stosy listów i który fundował szpital z „cichej kasy”. Centralnym projektem Judyma jest **przebudowa wód** (zniesienie kanału i basenu, podniesienie dna rzeki) dla osuszenia wilgotnych, malarycznych Cisów. Podczas wizyty **komisji rewizyjnej** Judym, mimo

lekceważącej odmowy udziału w naradzie (dyrektor zaśłania się ustawą: „dura lex, sed lex”), uparcie przedstawia swój plan — lecz Węglichowski i Krzywosąd zrećnie go obalają (koszty, „fikcje”, a zwłaszcza insynuacja, że Judym chce skorzystać z pieniędzy Lesa). Projekt upada. Pod grzecznymi ukłonami narasta **zimna nienawiść**: dyrektora drażni młodość Judyma i to, że jest lekarzem; każdy ze „starców” załatwia z nim własny rachunek (szpital, upokorzenia, mącenie ciszy, projekt czworaków). Węglichowski, dotąd człowiek „zacności”, po raz pierwszy szuka w sobie ukrytej broni przeciw „szewskiemu synkowi”.

„Ta łza, co z oczu twoich spływa...”

Wczesną wiosną powódź znosi tamę i potwierdza wywody Judyma (zgniłe liście z kanału idą do stawu) — lecz dyrektor i Krzywosąd zbywają to żartem. Pieniądze Judyma umożliwiły bratu **Wiktorowi** wyjazd za granicę. Rozdział maluje przejmujący obraz zimowej, wichrowej Warszawy, przez którą jednokonna dorożka wiezie Wiktora z żoną i dziećmi ku rogatkom. Na pustym polu pod miasteczkiem następuje **pożegnanie**: Wiktor, z łzą na twarzy, odjeżdża do Szwajcarii do pracy w fabryce, zostawiając żonę z lękiem („nie rzucisz mię, Wiktor?”) i dziećmi; obiecuje pisać i przysyłać pieniądze. Judymowa, oszołomiona wódką i rozpaczą, wraca z dziećmi, niosąc świadomość, że to ona, „matka-zwierzę”, musi teraz dźwigać cały ciężar utrzymania rodziny.

O świcie

Wczesnym kwietniowym rankiem Judym, idąc na obchód chorych po wsiach, w mokrym, budzącym się do wiosny lesie spotyka wracającą bryczką, znużoną i zmokniętą, **Joasię Podborską**. Z początku zaśłania się ona spowiedzią w Woli Zameckiej, lecz furman wyjawia prawdę: jeździły **szukać Natalii**. Joasia wyznaje: panna **Natalia uciekła z domu i wzięła ślub z Karbowskiem** w Woli (u „niesympatycznego” księdza), po czym oboje wyjechali za granicę; pełnoletnia, zabrała cały swój majątek po matce (na który Karbowski „będzie miał co puszczać”). Joasia obwinia siebie (jako wychowawczyni, powiernica) i cierpi nad babką (panią Niewadzką, leżącą krzyżem w kaplicy). Pyta z troską, czy ta wieść nie sprawia Judymowi przykrości — „przecież i pan kochał się w Natalce”. Judym z radością i ulgą zaprzecza: „nie kocham się w niej wcale!”. Po jej odjeździe, patrząc na ślady jej małych trzewików w błocie, doznaje olśnienia — rozwiązania „trudnego pytania, prostego jak czysta prawda”, i wita je radosnym śmiechem: „**Ależ tak! Przecie to jest moja żona**”. To moment przełomowy: zmysłowa fascynacja Natalią ustępuje głębokiemu, „braterskiemu” i zarazem miłosnemu uczuciu do bliskiej mu duchem Joasi.

W drodze

Na początku czerwca **Judymowa** otrzymuje od męża ze Szwajcarii list z żądaniem przyjazdu (skarży się na koszty i obce jądło). Nie mając wyjścia — sama nie wyżywi rodziny, a boi się, że Wiktor ją opuści — postanawia jechać do niego z dziećmi.

Rozdział **W drodze** to przejmujący opis samotnej podróży **Judymowej** przez Wiedeń do Szwajcarii: nieznająca obcych języków, zagubiona (kluczowe słowa „Amstetten”, „umsteigen”), w półśnie wspomina zgryźliwą ciotkę i lęka się obcego świata. Gubi się, wysiadłszy na niewłaściwej stacji; w rozpaczy, dźwigając toboły i chore dzieci, błąka się i widzi w oparze „Złego”. Ratuje ją para szczęśliwych, eleganckich młodych państwa — okazują się to **Karbowscy** (Natalia z mężem); dowiedziawszy się, że to bratowa „ambitnego doktorka” Judyma, z rozbawieniem, lecz i życzliwie zajmują się nią, odstawiają na właściwy pociąg, obsypują drobiazgami. Judymowa, wpatrzona w piękną Natalię, błogosławi jej szczęście. Dojechawszy wreszcie do **Winterturu**, wita ją Wiktor; mieszkanie ciasne, lecz czyste. Sąsiad-Szwajcar robi awanturę, bo dzieci obdarły mu winorośl; Wiktor, zniechęcony szwajcarskim rygorem, oznajmia, że jedzie dalej — **do Ameryki**, za Bessemerem i lepszym zarobkiem („Bessemer jest wszędzie na świecie”). Judymowa w odrętwieniu wciąż widzi przesuwające się ściany wagonu. (Przez okno obserwuje szwajcarskie przedszkole — dzieci uczące się z radością przy śpiewie — i z żalem myśli o własnych dzieciach „rosnących ponad rynsztokiem”.)

O zmierzchu

W życiu Judyma zaczyna się szczęśliwy „okres szczególny”: rozkwitająca, czysta, niemal mistyczna miłość do **Joasi**. O zmierzchu spotykają się w ciemnych alejach parku (z panną Wandą), poznają się raczej po głosie niż z twarzy. Judym myśli o niej jako o „narzeczonej”, choć nie wyznał miłości; nie pożąda jej cielesnie — kocha „jej miłość”, ten „zaklęty wirydarz”. Wciąż jednak towarzyszy mu widmo sutereny z Ciepłej i lęk, że jeśli wyciągnie rękę po szczęście, ono zniknie. Pewnego dnia spotyka Joasię na leśnej dróżce; w polu, o zmierzchu, w ciepłej zoranej ziemi **wyznaje jej miłość** („to ja będę mężem twoim”), obejmuje ją, całuje — następuje milcząca, „całopalna” zgoda; ona „pocałunkami mówi o swym szczęściu i ofierze”.

Szewska pasja

Krzywosąd, by uniknąć wywożenia szlamu furami w sezonie, wpada na „genialny” pomysł: spuszcza zgniły muł ze stawu rynną wprost do rzeki — tej samej, z której piją okoliczne wsie i bydło. Judym, ujrawszy to, wybucha; w starciu z dyrektorem i Krzywosądem cynicznie nazywa to „ilustracją roli społecznej zakładu” (higiena dla bogatych, muł dla chłopów), a gdy

Krzywosąd nazywa go „totumfackim” i unosi pięść, Judym chwyta go za gardło i **wrzuca do szlamu**.

Gdzie oczy poniosą

Węglichowski listownie **zwalnia Judyma** z posady. Judym, rozdarty między dumną wzdardą a nędznym pragnieniem przeproszenia i powrotu (knuje intrygi przez Listwinę), w upokorzeniu pojmuje, że i tak musi odejść. Żegna się w myślach z ukochanym zimowym mieszkaniem (portret pięknej kobiety: „kochaj życie nade wszystko”) i z Joasią (która jeszcze raz przychodzi pod okno). Wyjeżdża. Na dużej stacji przesiadkowej spotyka dawnego znajomego z Paryża i Szwajcarii — inżyniera **Korzeckiego** (neurastenika, dandysa, „cynika” o przeszywającym wzroku), który namawia go, by zamiast do Warszawy jechał z nim do **Zagłębia**, gdzie wakuje posada lekarza fabrycznego (wyznaje, że przy Judymie mógłby spokojnie sypiać).

Glikauf!

Obraz **Zagłębia** — krajobrazu zniszczonego przemysłem (hałdy, zawaliska, martwe wody, dymy, nędzne osiedla robotnicze „murowanych chat”). Judym, w głębi serca witający w czarnych, zharowanych ludziach „ojca i matkę”, zwiedza kopalnię „Sykstus”, zjeżdża windą w głąb (250 m), widzi pracę górników, „organy”, wybuchy, starców-odźwiernych zamurowanych w ciemności; rozmyśla nad geologiczną historią węgla (praleśne puszcze zmienione w kamień). Korzecki snuje swą filozofię: pragnie wykształcić wolę tak, by zwyciężyć **strach przed śmiercią i samotnością** (pavor nocturnus), lecz mimo „wyedukowanej wiadomości” prawda jest dlań katuszą; nosi w sobie „zarazę” wrażeń (czerwona plama po zmarłym dziecku). W kopalni — symboliczna scena konia **Fuksa** („nie zwalone!”): wyzyskiwany, oszukiwany, musi godzić się na nadmierny ciężar; Korzecki: „ja zabraniam z całej duszy, ale już nie mam siły”.

Pielgrzym

Wizyta u dyrektora **Kalinowicza** (potentata Zagłębia, kolekcjonera sztuki, ojca pięknej panny Heleny i młodego, postępowego syna). Toczy się **wielka dysputa ideowa** między Korzeckim a młodym Kalinowiczem: o szczęście jednostki vs dobro ogółu, o kryteria dobra i zła, o „zbrodnię” i wolność. Korzecki głosi, że jedynym złem jest **krzywda bliźniego** („Człowiek — jest to rzecz święta”), że „zbrodnia” powinna być wyzwolona jak cnota, a o winie człowieka mówi mu „Dajmonion” (głos wewnętrzny). Podczas burzy przybywa do Korzeckiego przemoknięty, trzęsący się **przemysłowiec** o dużych, jasnoniebieskich oczach (przyniósł kort), na którego widok Judymowi drętwieje ręka (motyw powracający — echo ojca / bezdomnego

człowieka). W powrotnej drodze Korzecki rozwija swą wiarę w dobro ukryte w duszy i recytuje motyw „pielgrzyma, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu”.

Asperges me...

Judym jedzie z synem chorej, **gimnazistą Olesiem**, dwie mile leśną drogą do umierającej na suchoty (ostatnie stadium) matki chłopca w ubogim folwarku Zabrzezie. Nie mogąc pomóc, kłamie dla pociechy. Przejmujące sceny: lęk chorej przed krzykiem pawia, jej pragnienie życia „dla Olesia”, wspomnienie kurczęcia, które syn jej upiekł bez soli („łzami sobie osoliłam te kosteczki”). Korzecki, żegnając chłopca, ma w oczach łzy i powtarza „da Bóg, zobaczymy się wkrótce”. Wracając, Judym znów słyszy krzyk pawia i drży.

Dajmonion

Judym, już lekarz fabryczny, dostaje od Korzeckiego list z cytata z Platońskiej *Apologii Sokratesa* o Dajmonionie (głosie, który „nie stawił oporu”, bo „umrzeć i uwolnić się od trosk życia za lepsze sądzono”). Pędem wezwany, znajduje **Korzeckiego martwego** — **samobójcę** z roztrzaskaną wystrzałem głową (atlas anatomiczny otwarty na rysunku czaszki z czerwoną kreską). Przybywa **niebieskooki górnik** (ten, który u niego sypiał) i z dziecięcą rozpaczą próbuje ocucić, ogrzać ciało zmarłego.

Rozdarta sosna

Finał. Przyjeżdża **Joasia** (w drodze do Drezna do Karbowski). Judym oprowadza ją po **hucie** — potężny, sugestywny opis pracy przy wielkim piecu, walcowni, młocie parowym (koło lokomotywy „ma nosić szczęście i rozpacz”), pokazując jej harujących robotników. Joasia, szczęśliwa, roztacza wizję ich wspólnego życia: pobiorą się, założą szpital jak w Cisach (ona będzie jego „felczerką”), urządzią skromny, piękny dom z prostych, ludowych sprzętów, a wszystko, co inni trwonią na zbytek, oddadzą biednym. Judym z początku przytakuje, lecz na widok nędznych chałup robotników z cynkowni (wynaturzone dzieci, umierający) załamuje się i **wyrzeka się Joasi i osobistego szczęścia**. Wyjaśnia: jest „z motłochu”, czuje się odpowiedzialny przed swoim duchem („nie pozwalam!”); „muszę to oddać, com wziął” — ten „dług przeklęty”; nie może mieć ani żony, ani niczego drogiego, dopóki istnieją „te podłe zmory”; boi się, że miłość obudzi w nim „dorobkiewicza”, więc „muszę być sam jeden”. Joasia, zdruzgotana, błada „jak maska pośmiertna”, nie wstrzymuje go („Ja cię nie wstrzymam”) i odchodzi sama na dworzec, żegnając go: „Szczęść ci Boże” — a z głębi serca Judyma „głos obcy, jakby Dajmonion” odpowiada: „Daj Panie Boże”. Samotny Judym idzie ku kopalni; nad brzegiem martwej wody zawaliska (tej samej, w której odbijała się złowroga „wskazówka”)

widzi **rozdartą sosnę** — drzewo rozszczerzone przez zapadlisko, którego jeden korzeń trzyma się gruntu, a drugi ściągnięty został w przepaść, „jak istota wbita na pal”, ociekające „krwawymi kroplami żywicy”. Rzuca się na wznak w zawałisku; nad nim sterczy rozdarty pień, pod nim huczą wystrzały dynamitu. Słyszy „płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga” — nie wiedząc, kto płacze: Joasia? lochy kopalni? czy **rozdarta sosna** (symbol jego własnego, rozdartego między miłością a posłannictwem losu — i bezdomności).

Powieść kończy się tym otwartym, tragicznym obrazem.